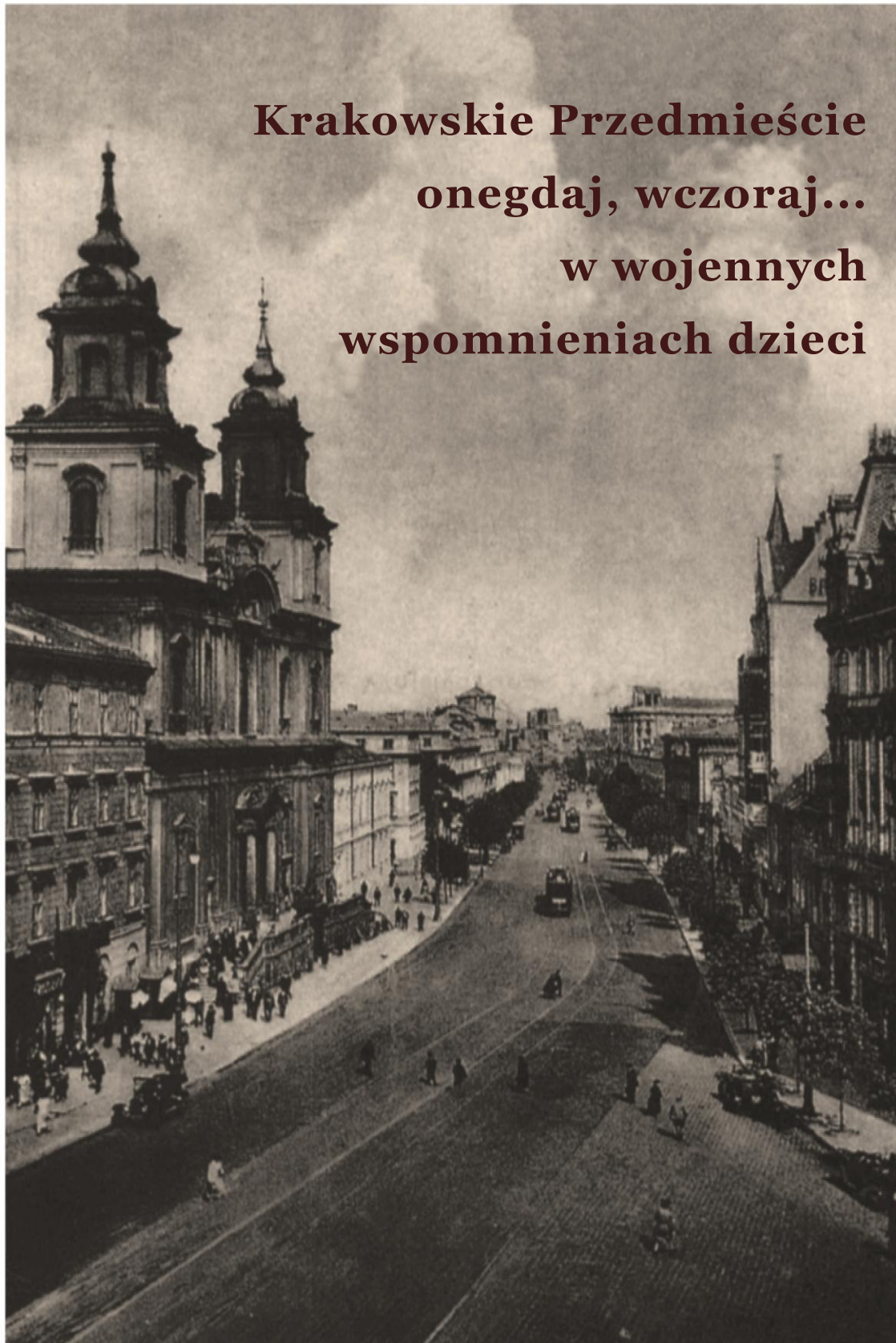


**Krakowskie Przedmieście
onegdaj, wczoraj...
w wojennych
wspomnieniach dzieci**



FUNDACJA
Moje Wojenne Dzieciństwo



Pomnik Mikołaja Kopernika

Krakowskie Przedmieście
onegdaj, wczoraj...
w wojennych
wspomnieniach dzieci



FUNDACJA
Moje Wojenne Dzieciństwo

Organizatorzy wystawy:

- Fundacja Moje Wojenne Dzieciństwo
- Centralna Biblioteka Rolnicza

Dzięki wsparciu finansowemu:

- Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
- Miasta Stołecznego Warszawy

Dzięki pomocy organizacyjnej:

- Muzeum Niepodległości
- Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych
Warszawa Śródmieście
- Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie



Koncepcja

i koordynacja wystawy: Eulalia Rudak

Scenariusz: Marta Kodym, Anna Oleszczuk

Projekt plastyczny: Marta Kodym

Dobór zdjęć i tekstów: Marta Kodym, Anna Oleszczuk,
Eulalia Rudak

Opracowanie graficzne: Adrian Napiórkowski

Wykonanie plansz: Strefa Druku

Opracowanie techniczne: Aleksandra Napiórkowska

Korekta: Wanda Kędzierska

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów: Muzeum Niepodległości, Stowarzyszenia Społeczno-Gospodarczego „Silesiae”

ISBN: 978-83-924232-7-0

Druk: Drukarnia TERCJA, tel. 022 647 03 45

Wstęp

Dziś pokazujemy maleńki fragment naszej Warszawy, od Nowego Świata do placu Zamkowego, część Traktu Królewskiego. Kiedyś było to przedmieście Starej Warszawy, utworzone z drogi od Bramy Krakowskiej, z placem postoju wozów i targowiska przed Bramą, nazwane Czerskim Przedmieściem. Gdy w XV wieku wybudowano kościół Św. Anny i klasztor Bernardynów, przedmieście zwano Bernardyńskim. Od końca XVI wieku magnaci i bogata szlachta zaczęli wykupywać grunty i wznosić swoje dwory i pałace. Krakowskie Przedmieście stawało się najpiękniejszą ulicą Warszawy.

Pokazujemy tę piękną ulicę, jej domy, pomniki, poprzez wspomnienia dzieci czasu wojny. Dzieci, których losy związały się z historią ulicy, które pamiętają szczęśliwe przedwojenne dzieciństwo, trudne okupacyjne lata i najgorsze chwile swojego życia. Niektóre nie mogą pozbyć się skojarzeń obrazów płonących domów, rozstrzelanych ludzi, przepędzania jako żywe barykady, by osłaniać czołgi niemieckie, strachu, lęku o najbliższych, wypędzenia z domów rodzinnych, odrwania od matek i ojców, utratę wszystkiego, zesłania na poniewierkę i obozy koncentracyjne. Przeżycia takie były udziałem warszawskich dzieci na wielu ulicach. A i potem, po „szczęśliwym” naszym powrocie wryły się w pamięć widoki zburzonych pięknych gmachów, rumowisk i gruzów, spalonego rodzinnego domu i krzyże, krzyże, krzyże. Swoje piętno zostawiły zatrwające ekshumacje i zbiorowe pogrzeby oraz mogiły. Pomimo tego, że obrazy te były bardzo bolesne, zostaliśmy w Warszawie, nie upadaliśmy na duchu, dumni, że wbrew wrogom istnieliśmy, choć trudno było i ciężko, bardzo ciężko. Wytrzymaliśmy pomimo braku wody, żywności, opału, ubrania i okryć. Często, pomimo pracy ponad siły. Pamiętamy jak odgruzowywaliśmy miasto, jak wybieraliśmy ocalałe cegły, oczyszczaliśmy je i podając z rąk do rąk ustawialiśmy z nich słupki, bo były potrzebne. Spiesziliśmy się. Nieraz w niedzielę (nie było wtedy wolnych sobót) wychodziło około 100 tys. Warszawiaków do „odgruzowywania” za darmo, ale nie na darmo. Tysiące ton gruzu wywieziono. Nie wszystko. Część miasta – Muranów – pobudowano na gruzach.

Warszawa była i jest. Są jej piękne ulice, odbudowane domy i pałace, parki, ludzie i dzieci. To zawsze my, to nasza Warszawa. Pokazując ulicę i przedstawiając nasze wspomnienia o niej, chcemy rozbudzić miłość do miasta, któremu Warszawianie starzy, młodzi i dzieci, w czasie wojny i Powstania Warszawskiego poświęcali bez reszty swoje życie, krew i trud. Jak zawsze w chwilach zagrożeń. To nasza historia, nasza duma, nasz honor. Krakowskie Przedmieście jest od wieków piękną, pryncypialną ulicą a będzie jeszcze piękniejsza. Każdy z nas ma taki zakątek Warszawy, który szczególnie ukochał, każdy ma swoje „krakowskie przedmieście”.

Dzieciństwo przed burzą – lato 1939

*Garstka wspomnień o szczęściu,
Plik starych fotografii,
Myślą wracam
W przeszłość,
Pachną kwiaty,
Jestem dzieckiem.
Ostatnie wakacje,
Czytam książki.
Słońce praży,
Lipy pachną,
W domu ojciec matka,
Małe siostry,
Wszyscy spokojni
Ja nie...
Umiem czytać gazety
Potwornie boję się wojny...*

Władysława Siemaszko „Jarzębina”

Marta Kodym, Anna Oleszczuk

O wystawie

Każdy z nas, przechodząc ulicami swojego miasta, przypomina sobie fragmenty swojego dzieciństwa i młodości związane z mijanymi budynkami, kościołami, pomnikami czy pustymi placami, na których kiedyś coś było. Niektóre wspomnienia z czasem bledną ale są takie, które nie dają nam spokoju i ciągle zaprzatają nasze myśli mimo upływu lat. Takimi wspomnieniami obarczone są te osoby, które przeżyły swoje dzieciństwo w Warszawie w czasie okupacji.

Założeniem wystawy jest pokazanie zdjęć jednej ulicy Warszawy – Krakowskiego Przedmieścia – pochodzących z różnych okresów poczynając od Canaletta a skończywszy na odbudowie po II wojnie światowej. Umieszczając pod nimi dwa rodzaje podpisów – rysu historycznego i urywków wspomnień dzieci z okresu II wojny, zaczynamy patrzeć na tę ulicę inaczej. Patrzymy na nią oczami dzieci, którym udało się przeżyć II wojnę a wspomnienia z tamtego okresu są dla nich ciągle żywe.

Wszystko co kochaliśmy

*Wszystko co kochaliśmy
Domy, parki, pomniki
Ulice znane od dziecka
Młodość i miłość
Wszystko nam zabrano.
Została nienawiść,
Śmierć, pogarda.
A miłość, pierwsza miłość
Na barykadzie padła.*

Władysława Siemaszko „Jarzębina”



Krakowskie Przedmieście Bernarda Bellotto 1767-1768 r.
Krakowskie Przedmieście niedaleko Królewskiej, po 1939 r.





Krakowskie Przedmieście, Towarzystwo Dobroczynności, Muzeum Przemysłu i Rolnictwa

Krakowskie Przedmieście 1904





Krakowskie Przedmieście 1918-1939 r.
Krakowskie Przedmieście róg Trębackiej po 1961 r.



Jan Domański

Wspomnienie z pierwszych dni wojny 1939 r.

W czasie II wojny światowej mieszkałem w Warszawie – ul. Browna 19 róg Karowej. W chwili wybuchu wojny miałem 14 lat. W oblężonej Warszawie brak było żywności, więc razem ze starszym bratem Jerzym i kolegami staraliśmy się zdobyć żywność dla rodzin i siebie.

Od żołnierzy, którzy z taborami ukrywali się przed nalotami pod wiaduktem Markiewicza na ul. Karowej, dowiedzieliśmy się, że na Karowej w jednym z teatrów – w Teatrze Wielka Rewia są magazyny z żywnością (był też Teatr Malickiej – tam nie byłem). Teatr w tym czasie już się palił. Udało nam się wynieść kilkanaście puszek konserw wojskowych. Niektóre były już nadpalone, ale można było ich zawartość zjeść. Natomiast zmagazynowana mąka już się paliła. Następnie udaliśmy się na Krakowskie Przedmieście, za Hotelem Bristol, do Pałacu Radziwiłłów (obecnie Pałac Prezydencki), gdzie były także magazyny m.in. z cukrem. Worki były porozrywane, cukier rozsypany. Brat zdjął letni płaszcz (prochowiec) i w tym płaszczu nieśliśmy zebrany cukier. Od ludzi będących w tym magazynie dowiedzieliśmy się, że między kościołem Św. Anny a ulicą Bednarską, w Resursie Obywatelskiej są także magazyny, lecz pilnuje ich żołnierze. Ponieważ był bardzo duży ostrzał z Pragi i domy częściowo się paliły, żołnierz zezwolił nam wejść do magazynu, który mieścił się w podziemiu budynku (obecnie Sala Zielona Domu Polonii). Z magazynu udało nam się wynieść cukier, kaszę, papierosy wojskowe „Rarytasy”. Bardzo dużo różnych produktów ludzie podeptali i wszystko było razem pomieszane. Ludzie chodzili też na róg ulicy Miodowej, tam palił się sklep z winami. Brano te wina, niektóre ogrzane od ognia i dymu. Te wypady po żywność trwały kilka dni. Ostrzał był coraz większy, z Pragi bombardowali Niemcy.

Na Krakowskim Przedmieściu, gdzie obecnie znajduje się Centralna Biblioteka Rolnicza przed wojną było kino. Co tydzień chodziłem tam na poranki. Były wyświetlane m.in. filmy kowbojskie, które bardzo nam się podobały, Pat i Patachon, Flip i Flap. Bilety były po 20 lub 25 groszy.

Za Resursą Obywatelską (obecnie Dom Polonii) był budynek, gdzie była kaplica i Warszawskie Towarzystwo Dobroczyńności, które prowadziło kiedyś dom dla dziewcząt, potem ochronkę, a od 1918 do 1945 roku dom dla ludzi starszych – kobiet i mężczyzn. Obecnie jest tam Caritas. W kaplicy „Res Sacra Miser” odbywały się nabożeństwa, tam co niedziela chodziliśmy na msze św.

Często chodziliśmy z chłopakami na ulicę Bednarską, gdzie na rogu był sklep z bronią. My młodzi lubiliśmy się tej broni przyglądać. Pamiętam, że biegaliśmy też by oglądać odprawy wart przed domem „bez kantów”. Naprzeciwko, na balkonie hotelu Europejskiego, śpiewał Jan Kiepura. Dalej na Krakowskim Przedmieściu był sklep firmowy „polskiego fiata” – też było co oglądać. Z ojcem chodziłem do kościoła św. Krzyża, gdzie mój ojciec śpiewał w chórze. Pamiętam, że dyrygentem był pan Maklakiewicz. Chodziliśmy do Uniwersytetu Warszawskiego, zaraz przy wejściu były takie podparte balkony, tam było coś w rodzaju muzeum zoologicznego. Pamiętam, że pod arkadami była księgarnia.

Stanisław Soszyński

Krakowskie Przedmieście – rok 1943

Na wprost pomniczka Matki Boskiej Passawskiej – apteka Wende. Obok przystanek tramwajowy i latarnia, do której niemiecki okupant przymocował głośnik. Nadają z niego frontowe komunikaty. Krwawe i coraz lepsze dla oczekujących na tramwaj zabiedzonych Polaków. Wróg bity cofa się na wszystkich frontach. To już czwarty rok wojny. Nad apteką trzy piętra mieszkań, ludzi zasobnych. Z jednego z nich zgłoszono do RGO – Rady Głównej Opiekuńczej dwa obiady dla biednych dzieci. Wypadły na nas. To znaczy dla mojego młodszego rodzeństwa. Siostry i brata. Mieszkamy na ulicy Freta w głębi Starego Miasta, a Krakowskie Przedmieście jest traktem bardzo ruchliwym. Kilka linii tramwajowych, dużo niemieckich samochodów, ryksze i dorożki. I tysiące ludzi. Trzeba bardzo uważać. Odprowadzam więc malców i kiedy idą na górę zjeść obiad, siadam w bramie na kamiennym stopniu i czekam aż wrócą. Patrzą na okupacyjną ulicę. Oto tramwaj. Obwieszony „gronem” – tak nazywano wagon niemożliwie zatłoczony, z jadącymi nie tylko w środku i na stopniach, ale

szukających każdego miejsca, na którym można postawić stopę, czy chwycić się rękami. Jazdę z boku wagonu z nogami wspartymi na resorach stalowych kół nazywano „na orła”. Kawałek miejsca na belce konstrukcji pomostu i wsparcie nóg na buforze czyli „cycku” zapewniało względnie bezpieczny przejazd. I oto starsza pani „przy kości” spędza z niego małego chłopaczka, a po chwili kiedy tramwaj rusza siada sama na nim i odjeżdża do następnego (zapewne) przystanku.

Głośnik trzeszczy: „Tu Kraków i wszystkie rozgłośnie Generalnego Gubernatorstwa. Dzień dobry państwu. Nadajemy komunikat wojenny. Wojska nasze wycofały się na z góry upatrzone pozycje. W ten sposób skrócono front o tyle a tyle kilometrów, zyskując przewagę nad bolszewikami”. Wiedzą o tym sukcesie ranni żołnierze armii niemieckiej, których specjalny tramwaj przewozi z dworców do dzieśiątków szpitali utworzonych w Warszawie. Naszą nową, wspaniałą szkołę przy ulicy Barokowej też zamieniono na szpital, jak wiele innych szkół i przedszkoli.

Podobno na Placu Trzech Krzyży jakaś pani uciszała tłumek komentujący wyładunek tych nieszczęśliwców. Ktoś ją ofuknął „coś pani taka litościwa ciągle ciii i ciii” Odpowiedziała podobno wzburzona „nie litościwa, tylko nie słycać jak jęczą”.

Albo, połowa pierwszego wagonu (za motorniczym) ma część zarezerwowaną tylko dla Niemców. Kilka kroków stąd przed kościołem Św. Anny jest przystanek. Konduktor dał już sygnał do odjazdu, gdy ranny rozpaczliwie kuśtykający żołnierz niemiecki podążał do swojej części tramwaju. Widząc to przechodzeń wskazał go ręką motorniczemu i powiedział: „zabierz pan i tę Victorię”. A trzeba wiedzieć, że wymyślony przez Anglików znak zwycięstwa „Victory” dwa rozsunięte palce, przechwyciła propaganda niemiecka i obsmarowała literą V całą okupowaną Europę.

Przed wojną kursował w Warszawie tramwaj z oznaczeniem trasy literą O, czyli okólnej. Były to pojedyncze wagony kursujące w przeciwnych kierunkach. Tym samym mijały się co pewien czas w różnych punktach miasta. Okupant zarezerwował tę linię wyłącznie dla siebie, i zaraz powstał celny warszawski dowcip: „Troszkę się cawniem panie szanowny, bo smród będzie. Dlaczego? Nie widzisz pan dwa zera się mijają”. (Dwa zera to było oznakowanie klozetu). Teraz też jedzie zero. Niestety drugiego nie ma.

Krakowskie Przedmieście. Serce Warszawy. To było tak nie dawno. Pamiętam pogrzeb Marszałka J. Piłsudskiego. Kondukt szedł tędy z Katedry na Pole Mokotowskie, z którego po defiladzie wszystkich rodzajów wojsk, trumna odjechała odkrytym wagonem – przez całą

Polskę – do Krakowa na Wawel. Latarnie Krakowskiego Przedmieścia spowito kirem. Zrobiono z niego wielką czarną ścianę w poprzek ulicy Świętojańskiej, oddzielając w ten sposób Stare Miasto od Katedry. Żałobny kir okrył miasto. Miałem pięć lat. Teraz mam dwanaście. I muszę myśleć jak dorosły. Bo rok temu zmarł mój Tata, przez wojnę.

Na wprost stoi figura M.B. Passawskiej – votum króla Jana III Sobieskiego za wiktoryę wiedeńską, jak i kościół PP. Sakramentek na Nowym Mieście fundacji jego żony Marysieńki.

Jeszcze nie wiem, że za rok wypędzany ze Starego Miasta, z powstańczej „Starówki”, po jej zdobyciu przez Niemców, zobaczę pod figurą działa piechoty skierowane na domy przy ulicy Pivnej i Świętojańskiej. Źle napisałem. To już nie były domy tylko ogromne usypiska cegieł, w których sterczały pojedyncze ściany. Krakowskie Przedmieście było wymarłe. Kurtyny spalonych kamienic patrzyły na zwałonego króla, pogięte latarnie, spirale zerwanej sieci tramwajowej. Tu i tam stały rude wraki zniszczonych czołgów. Tłum szedł wolno popędzany przez konwojentów wrzaskiem i strzałami. Małe dzieci przypieczone słońcem powtarzały pić... pić. Płakały. Obok Kościoła Karmelitów jakieś kobiety z opaskami Czerwonego Krzyża proponowały kawę z białych emaliowanych dzbanków. Sygnał, że są to Niemki sprawił, że z wielotysięcznego tłumu piły tylko matki z dziećmi.

Po latach ustaliłem, że były to polskie siostry zakonne, których najemnicy armii niemieckiej nie wypędzili z domu „Res Sacra Miser” (Ubóstwo rzecz święta), bo otrzymywali obrazki „Czarnej Madonny” (M.B. Częstochowskiej), która jak twierdzili „chroni od kul”.

A teraz przeskoczmy jeszcze na chwilę, czterdzieści lat do przodu. Jest rok 1982. Stan wojenny. Zbrodniczy, bo po raz pierwszy w Historii Narodu rozkazano Żołnierzowi Polskiemu wymierzyć broń w naród. Jego Naród. „Nieznani sprawcy”, czytaj funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, kradną pozłacane korony Figury i Dzieciątka. Po kilku dniach pytam ówczesnego kanclerza Kurii, czy może trzeba pomóc przy ich odtwarzaniu. Dziękuję, mówi kanclerz, ale „nieznani sprawcy” podłożyli korony zawinięte w gazety na ławce kościoła Św. Anny. Niebawem je zamocujemy.

Obiad skończony. Dotknięcie ręki brata przerywa kontemplację. Są bardzo wzburzeni. Oboje. My już tam więcej nie pójdziemy – mówią stanowczo. Pytam, dlaczego? Wyjaśniają. Dziś po bardzo dobrym obiedzie był deser. Ciastka z kremem. Nie zjedliśmy, myśląc, że weźmiemy dla ciebie. A ta Pani mówi, że na wynos nie ma. Tłumaczyliśmy, że siedzisz tu na dole w bramie i czekasz na nas, a ona cią-

gle nie i nie. To powiedzieliśmy, że mamy w nosie takie obiady i więcej tu nie przyjdziemy.

Patrzyłem na nich zaskoczony. Było w nich coś nieustępliwego. W małych dzieciach z dużym charakterem. Po kilku tygodniach dobrego jedzenia zrezygnowali z niego bo, nie uszanowano ich decyzji poczęstowania starszego brata. Rodzinna solidarność, którą Mama nasza po wysłuchaniu relacji zaakceptowała. Drobne wydarzenie zapamiętane na całe życie. Krakowskie Przedmieście, apteka Wendego, przystanek. A gdzie to jest? Tam – obok figury M.B. Passawskiej. Pustka! Nawet drzewa wycięte. Planowo, według projektu. Bez życia.

Barbara Grębecka-Szof

Krakowskie Przedmieście – wspomnienie

Sierpień 1944 rok. Niezmiernie odległa data. Warszawa. Mamę wcześniej aresztowało gestapo za ojca, który uciekł Niemcom z więzienia w Suwałkach (Oficer września 39 roku, ocalały walczył na zachodzie).

Nie było ani mamy ani taty...

5 DZIEŃ SIERPNI. POCZĄTEK POWSTANIA

Słoneczne przedpołudnie. Przypadkowe schronienie u dalekich ciotek mojego taty, przy Krakowskim Przedmieściu 5 (w obecnej Akademii Sztuk Pięknych). Ten sam numer, to samo miejsce co dziś. Nim wydobyłam się ze struchlałymi ciotkami z dziedzińca okalającego domy mieszkalne, zobaczyłam w perspektywie ulicy ogień. Wygnany tłum tłoczył się pod murem. Niemcy podpalili obie strony Krakowskiego Przedmieścia, wygarniali ludzi ze wszystkich stron. Rozstrzelali najstarszych i chorych, którzy nie mogli iść. Pamiętam to straszliwe przerażenie, zupełnie nieludzki lęk, chciałam wyrwać się z tłumu, biec do tych w mundurach i błagać, żeby mnie puścili. Płonęły obie strony ulicy, tam gdzie widać było bramę Uniwersytetu Warszawskiego i nasza, z kościołem Św. Krzyża. Kłęby dymu, ogień sięgał już pomnika Kopernika. A nad kościołem wznosiła się jeszcze pochylona postać Chrystusa, jeszcze była... Potem dopiero legła w gruzach. (Zobaczyłam to już po wojnie, na kronice). Było duszno, upalnie... Stałam w tłumie, znieruchomiała z przerażenia, ściskając kurczowo dużego, białego psa Miki. Ciotki chciały ratować swój licz-

ny, ukochany zwierzyniec, wcisnęły mi go pośpiesznie. Instynktownie szukałam u Miki jakiejś osłony, rychło jednak, jak oszalała popędziła przez wciskający się wszędzie dym, straciłam też z oczu ciotki. Wtedy nas popędzono, w kierunku Nowego Światu, przed czołgami dla osłony niemieckich fizylierów przed ogniem powstańczym. Byłam wtedy o krok niemal od swego rodzinnego domu ul. Ordynacka 10, drugie piętro; a było tak, jakby dzieliła mnie od tego jakaś niewyobrażalna przestrzeń. Instynkt kazał się ratować, tylko jak? Już za pomnikiem Kopernika ale jeszcze w obrębie Krakowskiego Przedmieścia rozstrzelano ludzi odłączonych z „naszej grupy”, następnych jak się później okazało, już wzdłuż Nowego Światu. Wciśnięta między nieznanne mi osoby, głównie kobiety i dzieci, starałam się jakoś skryć. Kilku mężczyzn stało przed tym tłumem, myślę, że mieli nadzieję nas osłonić. Pędzono nas w kierunku Alej Jerozolimskich, a potem z powrotem, tak jak przebiegała akcja między Niemcami i powstańcami. Nie pamiętam, w ogóle nie zapamiętałam ilu z nas upadło wtedy, ilu zabili i jak dokładnie pędzili nas. Starałam się być jak najmniejsza, wciskałam się między ludzi, dzieci, to był straszny lęk, jakiś amok, coś co spadło na nas, obezwładniło. Strasznie się bałam...

W którymś momencie, już poza traktem królewskim znaleźliśmy się, ciągle dużą grupą, przed wejściem do Ogrodu Saskiego (przy Grobie Nieznanego Żołnierza). Niemcy zaczęli nas ustawiać w dziesiątki... (czy do zlikwidowania?). Nie zdążyli, rozproszył ich nowy atak powstańców. Kazali wszystkim, także dzieciom, nosić rannych i trupy niemieckie, układać wzdłuż trawników... Potem znowu zamieszanie, atak z obu stron i bieg zakolami, jakąś okrężną drogą w kierunku Starego Miasta. A tam... już była Polska. Trudno było uwierzyć, po tym przejściu przez piekło, że gra jakaś muzyczka, łopoczą biało-czerwone chorągiewki. Ludzie rozluźnieni, radośni.

Nie mogłam wtedy wiedzieć, że właśnie tam czeka mnie, aż do pierwszych dni września, piekło gorsze i dłuższe.

Alicja Strojnowska

Po wakacjach 1943 r. kontynuowałam naukę w gimnazjum Anieli Werekkiej w budynku przy ulicy Krakowskie Przedmieście 55 w Warszawie. Istniało ono oficjalnie pod płaszczykiem szkoły krawieckiej.

W związku z tym niektóre lekcje odbywały się na I piętrze (nad słynną apteką Wendego). Były to: gimnastyka, rytmika, rysunki, roboty ręczne. Inne, jak nauka kroju i szycia, miałyśmy na Starym Mieście przy ulicy Bugaj. Łacinę, historię, geografiię i język polski wykładano w mieszkaniach prywatnych. Tak zwane komplety składały się z sześciu-ośmiu osób i zawsze odbywały się pod czujnym okiem właścicieli mieszkań i dozorców domów. W tym miejscu muszę podkreślić, że pewną część młodzieży z Legionowa umieszczano na tajnych kompletach w Warszawie. Kiedy delegatem Tajnej Organizacji Nauczycielskiej na terenie naszego miasta został pan Piotr Parol, kierownik szkoły nr 1, sprawa została uproszczona.

Andrzej Składanek

Powrót

Rok 1945

Znów jesteśmy w Warszawie. Na Koszykowej, w pobliżu hal targowych, gdzie jacyś krewni mają sklep warzywny. Wszystkie nasze mieszkania oraz drukarnia na Nowym Świecie są w ruinie. W osobliwy sposób bawię się z kolegami: kopiemy ludzką czaszką, znaną gdzieś w pobliżu. Nie dociera wówczas do mnie, że są to godne szacunku szczątki kogoś, kto mógł być moją Mamą, Tatą lub mną samym. Nie pamiętam, czy ktoś zwrócił nam wówczas uwagę.

Znajdujemy przytulisko w bramie domu przy Krakowskim Przedmieściu wraz z wielką liczbą innych, nieznanym osobom. Zbliża się Wielkanoc. Gdzie i z czego urządzić święcone? Idziemy z Matką placem Trzech Krzyży obok ruin kościoła św. Aleksandra i nagle wśród gruzów znajduję małą książeczkę do nabożeństwa, bez tylnej okładki, ale całą, a w pobliżu – jakiś banknot. Ten dar gruzów Warszawy stał się fundamentem naszych świąt. Książeczkę mam do dziś.

Rok 1946

Znów Święta Wielkanocne tuż, tuż. Tradycyjnie wybieramy się z Matką na groby. Z przedwojennych jeszcze czasów trasa prowadzi od kościoła św. Krzyża, przez Krakowskie i Starówkę, do najdalszego kościoła: Najświętszej Maryi Panny na Nowym Mieście. Każdy z kościołów jest bardziej lub mniej zrujnowany, ale w każdym Grób

Chrystusa przemawiający do serca i wyobraźni. Motyw wszędzie podobny: z okowów śmierci, z gruzów i kłębowisk drutu kolczastego zmartwychwstaje Chrystus – Polska – Warszawa do nowego, promiennego życia. Rekwizytów do tych grobów nie trzeba było sprowadzać z daleka. Figura Chrystusa prawie wszędzie ulokowana jest w „naturalnym” otoczeniu zburzonego kościoła. Na Piwnej, w ruinach trzeciego czy czwartego domu od pl. Zamkowego widok jak ze strasznej bajki. Oto czarownica w dziwacznym stroju, z długimi, splątanymi włosami, otoczona stadem gołębi, które siadają bez lęku na jej ramionach i głowie. Trochę się jej boję, ale widok jest niezwykły.

Na Rynku Starego Miasta ścieżki wydeptane w wąwozach gruzów. Przez otwory okienne stojących jeszcze frontowych ścian domów północnej pierzei Rynku prześwieca niebo. Na uprzątniętym placu leży ogromny niewypał. Jesteśmy już na Nowym Mieście. Krajobraz taki sam, jak wszędzie indziej, ale... Nie do wiary! Kościół NMP stoi nienaruszony w morzu gruzów dookoła. Zbliżamy się wzruszeni i wchodzimy do wnętrza. Od drzwi, w głębi, otwiera się nagle szeroka panorama praskiego brzegu Wisły. Nasza „nienaruszona” świątynia nie ma absydy!

Rok 1947

Jak co roku na Wielkanoc obchodzimy kościoły, by odwiedzić Grób Chrystusa. Oprócz pobudek religijnych kieruje nami potrzeba czerpania siły i wzruszeń z symboliki zastępującej wolność słowa i przekonań. Dochodzimy już do Starego Miasta. Boże mój! To prawdziwa wyprawa „na groby”. Prócz tych Chrystusowych w kościołach, groby wszędzie wokół nas. Na Podwalu prowadzone są prace ekshumacyjne. W gruzach po prawej jeden cmentarz. Na murku przy chodniku rzędem leżą ludzkie czaszki. Obok – kości rozmaitych rodzajów i rozmiarów. Śmierć odarta z majestatu – ot, roboty ziemne. Ten fakt i ten widok robią na mnie wstrząsające wrażenie.

Z kolegą, którego wraz z jego matką spotkaliśmy w trakcie naszej wędrowności, wchodzę w gruzy domu, bodajże na rogu Kapitulnej, chyba „za potrzebą”. Ale jak to chłopaki – buszujemy trochę po okolicznym terenie i nagle mój kumpel wyłania się zza rozszarpanej futryny jakichś drzwi trzymając w ręku... karabin! Bez kolby wprawdzie, mocno zardzewiały, ale przecież prawdziwy, POWSTANCZY karabin. Matki decydują, że całości zabrać nie można, odłamujemy więc tylko szczerbinę z podziałką – zresztą bardzo dobrze zachowaną.

Tej Warszawy już nie ma... Nie ma? Jest ciągle w mojej pamięci...

Krystyna Milewska

Następnego dnia, 5 września rano, weszli Niemcy. Wyprowadzono nas pod pomnik warszawskiej Syrenki. Jeździł tam czołg, pełno było uzbrojonych po zęby żołnierzy. Mężczyzn odłączono i gdzieś zabrano. Zostały kobiety, dzieci i starcy. Niemcy kazali oddawać wszystkie kosztowności. Zebrali pełny hełm obrączek, pierścionków, kolczyków. Grozili, że jeśli coś znajdą, będą zabijać. Moja mama już wcześniej ukryła kosztowności w moim buciku. Wówczas dzieci nosiły sznurowane buciki z cholewkami. Ruszyliśmy wzdłuż Wisły do ulicy Bednarskiej, a następnie w górę. Domy na Bednarskiej płonęły. Trudno było iść przez ten żar i dym. Minęliśmy Krakowskie Przedmieście. Dalszej mojej drogi przez mękę nie pamiętam. Musiałam iść nieprzytomna z bólu. Wiem na pewno, że nie płakałam. Inne dzieci chyba też nie płakały. Kiedy dotarliśmy do kościoła św. Wojciecha na Wolskiej, był tam już mój ojciec, o którego tak strasznie zamartwiała się cały czas mama. Wreszcie zdjęto mi bucik. Było w nim pełno krwi, a noga piekielnie mnie bolała.

Zbigniew Grzywacz

Nad ranem cichy krzyk czy głośny przeraźliwy szept – Niemcy! Zrywamy się i przez przejścia przebite w ścianach uciekamy pod 17 i zaraz dalej pod 19, gdzie w kilka osób wpadamy do wejścia jakiejś piwnicy, ale równocześnie przez bramę od ulicy wpadają Niemcy!

– Halt, Halt! Hände hoch! Raus!

Potulnie, wolno wychodzimy. Na ulicy Podwale stoi już sporo ludzi wyciągniętych z innych domów. Wreszcie pomału, otoczeni Niemcami, ruszamy w stronę placu Zamkowego. Jest nas coraz więcej. Wreszcie po minięciu placu Zamkowego, bokiem Nowego Zjazdu idziemy w dół na Mariensztat i Bednarską do góry, znów na Krakowskie Przedmieście, Trębacką, pl. Piłsudskiego, Wierzbową, Senatorską do Elektoralnej i dalej Chłodną na Wolę. Przechodzimy obok naszego domu na Chłodnej. Nasz, jak i wszystkie domy „na trasie” płaczą wypalonymi oczodołami dawnych okien i drzwi.

Halina Cienkowska

Dziecko w Powstaniu Warszawskim

Nie sposób pominąć na Krakowskim Przedmieściu 34/36 zakonu klauzuruowego Sióstr Wizytek. Klasztor i kościół na małym placyku to miejsce, z którym los wielu dzieci, w czasie Powstania, w różny sposób był związany.

Klasztor otworzył furtę dla wszystkich, którzy potrzebowali pomocy, ale przede wszystkim dla dzieci – bo jak inaczej określić małych powstańców w wieku 10, 12, 14 lat, którzy zmęczeni, głodni, ranni, zjawiali się u tej furty z nadzieją na opatrzenie ran, po wodę (klasztor miał własną ręczną pompę), bandażę, jedzenie, chwilowe schronienie w murach kościoła, po modlitwę... Nigdy żadne takie dziecko-powstaniec nie zawiodło się. Zdarzyło się nawet, że zakonnica-postulantka, studentka medycyny, siostra **Klaudia Niklewicz**, udzielała pomocy rodzącym matkom zaskoczonym na ulicy godziną wybuchu Powstania.

Dzieci, które otrzymały pomoc z klasztoru było bardzo dużo – a siostry przez cały czas Powstania dzieliły się sucharami i tym, co można było zebrać w ogrodzie – do ostatniego buraka, jabłka, marchwi... rozgotowanego ziemniaka...

Teraz, w 64 lata po Powstaniu kościół jest również pełen dzieci, nowych dzieci – to tamte dzieci powstania przyprowadzają tu swoje wnuki. Wnuki żyjące już bez lęku i bez konieczności ofiary, jakiej wówczas wymagała od nich Ojczyzna.

Wiele lat po wojnie mieszkający u Sióstr Wizytek ksiądz **Jan Twardowski** pisał dla dzieci proste, mądre wiersze, a także przez wiele lat przygotowywał do Pierwszej Komunii Św. już inne, *niepowstaniowe* beztroskie dzieci, które o Powstaniu Warszawskim w 1944 roku dowiadują się od dziadków lub z książek.

Na temat Powstania siostry miały bardzo dużo do powiedzenia – wybranie wątków dotyczących wyłącznie dzieci i zamieszczenie tego w kilku zdaniach nie było rzeczą prostą

O spacerze
Po cmentarzu wojskowym

Że też wtedy beze mnie

*Przewracali się w hełmie
Lecąc twarzą bledziutką na bruk.*

*Jurku z Wojtkiem i Jankiem,
klękam z lampką i wiankiem,
z czarnym kloszem sutanny u nóg.*

Przeminęło, odeszło w milczeniu...

X. Jan Twardowski



Krakowskie Przedmieście, w głębi kościół św. Krzyża po 1939 r.
Widok na Hotel Bristol, 1939 r.





Budynki Uniwersytetu Warszawskiego po 1939 r.
Pałac Czapskich-Kraśińskich po 1939 r.



Marian Burzyński

Wojna 1939 rok

Drogę z Elektorальной pokonywaliśmy w nocy, ale widno było jak w dzień od łuny palących się wokół domów. Szliśmy przez plac Bankowy, Senatorską, plac Teatralny, Focha, Trąbacką do Krakowskiego Przedmieścia. Cała ta droga zasłana była jakimś gruzem, szkłem z szyb okiennych, różnego rodzaju drutami i resztkami blach. Kilka razy zatrzymywały nas patrole wojskowe i obrony przeciwlotniczej (OPL) z pytaniami dokąd i po co idziemy. Jeden z patroli pomógł nawet Mamie nieść toból z pościelą. Mimo nocy miasto było ostrzeżliwane z armat ustawionych w pierścieniu wokół Warszawy.

To, co zobaczyliśmy na Krakowskim Przedmieściu trudno opisać. Nieopodal Bednarskiej znajdował się skwer im. Hoovera, służący przed wojną jako miejsce odpoczynku dla wielu warszawiaków, szczególnie z małymi dziećmi. Ze stojącego tam pomnika Wdzięczności Ameryce biła zawsze fontanna ku uciechu dziecięcej gawiedzi. Tamtej nocy na trawnikach skweru leżały ciała zabitych żołnierzy polskich i cywilów, także małych dzieci. Rzędy zwłok niczym nie przykryte spoczywały głowami do muru okalającego skwer. Nieco dalej kilku żołnierzy i cywilnych mężczyzn kopało długi rów. Składali do niego zawinięte w jakieś białe płachty ciała. Mimo ostrzału artyleryjskiego i strachu o własne życie, staliśmy tak kilka minut, nic mogąc ruszyć dalej z powodu grozy, jaką powiało od tego skweru. Pierwszy raz w swoim króciutkim życiu stanąłem wobec śmierci, która dotknęła tyłu niewinnych ludzi. Płakałem głośno i długo przez całą dalszą drogę. Uspokoilem się dopiero w domu na Furmańskiej. Moja Mama nawet nie próbowała mnie uciszyć, zresztą sama była wstrząśnięta tym widokiem, podobnie jak i babcia.

Okupacja 1940 – 1944 r.

Wiosną 1940 roku Niemcy rozpoczęli instalowanie w wielu punktach Warszawy ulicznych megafonów, z których w określonych godzinach dnia nadawali komunikaty wojenne Naczelnego Dowództwa. Ja pamiętam takie 3 miejsca. Były to słupy latarni lub trakcji elektrycznej tramwajów przy Krakowskim Przedmieściu obok skweru Hoovera, przy Rynku Starego Miasta u wylotu Wąskiego Dunaju

oraz przy placu Teatralnym naprzeciw głównego wejścia do Ratusza. Każda „audycja” rozpoczynała się od pierwszych taktów marsza Radetzkiego, po czym męski głos z megafonu po polsku informował: „Tu Kraków i wszystkie rozgłośnie Generalnego Gubernatorstwa”. Wieści płynące z megafonów – zwanych potocznie „szczekaczkami” – przyjmowano z pełnym niedowierzaniem, jako przejaw niemieckiej propagandy.

...Handlowałem również niemieckimi papierosami Juno, Haudegen i innymi, które kupowałem od handlarzy-hurtowników w okolicach mariensztackiego rynku. Sprzedawałem je na Krakowskim Przedmieściu w pobliżu „szczekaczki”. Do oferowania papierosów miałem specjalnie przygotowaną małą walizeczkę, z przerobionego neseseru Mamy. Trzeba tu dodać, iż złapany przez Niemców lub „polską” policję handlarz był natychmiast doprowadzony do komisariatu. Tam dostawał tęgie lanie pałkami, znaleziony przy nim towar był konfiskowany, a jego rodzice musieli zapłacić wysoką grzywnę pieniężną. Całe zdarzenie zapisywane było w policyjnej ewidencji. Kilkakrotne powtórzenie się handlu, który był nielegalny, mogło spowodować wysyłkę jednego z rodziców do obozu koncentracyjnego. Trzeba było bardzo uważać i szybko uciekać, żeby nie dać się złapać.

...Korzystałem z kilku wypożyczalni książek, zależnie od ówczesnego miejsca zamieszkania. Znajdowały się one przy ul. Solec 85, Krakowskim Przedmieściu 45 (Braci Kozłowskich) i Kapucyńskiej 6. Musiałem budzić zaufanie swym wyglądem i zachowaniem się skoro właściciele wypożyczalni, będący jednocześnie bibliotekarzami, wręczali mi do przeczytania książki formalnie zakazane, których nie było w katalogu, a posiadanie ich było karane. Taką właśnie drogą dotarły do mnie takie pozycje jak: „Trylogia” Sienkiewicza, „Pan Tadeusz” Mickiewicza, „Wyspa Mędrców” Kossak-Szczuckiej, czy zbiór wierszy Marii Konopnickiej.

Halina Bielecka

Bardzo dużo ludzi czeka razem z nami, by przebiec na drugą stronę ulicy. Nie wiemy czy są tam Niemcy, bo strzałów nie słychać. Na usilne prośby czekających, a szczególnie jednej kobiety z 5-letnią dziewczynką, postanowiono: niech pierwsza idzie dziewczynka, niosąc białe płótno na kij. Ona mieszkała najbliżej i bardzo chciała się

dostać do domu. My z matką miałyśmy iść zaraz za nimi. Kobieta wyszła zza barykady, podniosła wysoko białą flagę i trzymając dziecko za rękę zrobiła może dwa-trzy kroki. A tu nagle cała seria strzałów. Kobieta pada, a dziewczynka stoi nad matką i zaczyna płakać. Będący w pobliżu powstańcy wołają: „wróć, wróć...!”. I dziewczynka cofa się. Powstańcy ściągną kobietę jakimiś kijami, ale niestety nie żyje. Stojących w pobliżu ogarnia rozpacz. Dziecko strasznie płacze, krzyczy „mamusiu...”. Ktoś się wreszcie nim zaopiekował. Ja naturalnie w szloch. Przecież to mogło się stać z nami. Z przejścia na drugą stronę ulicy rezygnujemy. Pozostajemy dalej na ulicy Topiel i czekamy, aż sytuacja się zmieni. Niedługo czekamy. Powstańcy uprzedzają wszystkich przebywających w okolicznych domach na ul. Topiel, że powinni opuszczać mieszkania, ponieważ Niemcy w nocy będą wysadzać most, czy też go bombardować i będzie tu niebezpiecznie. W każdym razie – nie mamy co tu dłużej robić. Ruszamy w odwrotnym kierunku, w stronę Furmańskiej, gdzie mieszka ciotka. Idziemy przez podwórka, klatki schodowe, piwnice. Dochodzimy do ul. Karowej, ale tu przeszkoda, gdyż jest ona pod obstrzałem od Krakowskiego Przedmieścia.

Dowiadujemy się, że ma być podkop pod ulicą. Organizuje się chętnych do pomocy przy kopaniu. Pomagamy przy wynoszeniu ziemi w kubłach. Czeka dużo ludzi chcących przejść tym kanałem do swoich domów. Nareszcie gotowe. Ustawiamy się kolejno. Naturalnie żadnych tobołów, ani bagaży ze sobą nie można brać, bo nie ma tyle miejsca w podkopie. Wchodzimy do podkopu na czworakach, jeden za drugim. Ja nie chcę się rozstać ze swoją walizką, ale muszą ją zostawić. Co się dało związałam w węzełek, resztę na sobie i w drogę. Wlekiśmy się na kolanach jeden za drugim, jak żółwie. Trwało to jak wieczność, a każdy się bał, żeby tam nie zostać na zawsze. Czołgający ponaglają się wzajemnie. Niektórym robi się słabo z wycieńczenia i zdenerwowania. Nareszcie powietrze i prześwit. Jesteśmy na drugiej stronie ulicy. Już bezpiecznie, tylko kawałek drogi, przez podwórka i do ciotki. Wchodzimy do mieszkania i rzucają się sobie w objęcia. Ciotka z dorosłą córką siedzą na tobołkach. Przygotowane w każdej chwili do ewakuacji. Dają nam czegoś rozgotowanego – jakiejś kaszy. Nareszcie pod dachem w domu. Układamy się do snu, ale tylko leżymy wyprostowane. Nikt oka nie zmrużył. Po tym przejściu podkopem pozostał mi uraz na całe życie. Rano wpadają wojska ukraińskie – własowcy. Każą wszystkim opuszczać mieszkania i wychodzić na podwórko. Każda z nas bierze co tylko można. Jest nas już więcej, więc ciotka daje nam jakieś platery, ubrania, co cenniejsze rzeczy, no i trochę żywności. Córka ciotki wkłada na mnie

swoje futro, odwracając je do góry podszewką. Tak stoimy, nie wiedząc co dalej będzie z nami. Ukraińcy wbiegają do mieszkań, patrzą czy ktoś nie został, czy nie ma mężczyzn, powstańców – i podpalają je. Widzimy, że cała ulica to wielki pochód. Ukraińcy nas popychają, krzyczą coś i pędzą pod górę ul. Bednarską. Dochodzimy do ul. Krakowskie Przedmieście, a tam strzelają w nasze szeregi. Padają zabici i ranni. Niektórzy zatrzymują się, aby ich ratować, ale konwojenci krzyczą, żeby biec. Przebiegamy, a oni chowają się za nami. Tak pędzone przybiegamy na plac Piłsudskiego. Ja roztrzęsiona – spazmatycznie płaczę. Poza tym jest mi gorąco, oblewa mnie pot i nie mam już siły biec. Trzymam się kurczowo matki. Jakoś szczęśliwie strzelanina na chwilę ustała i dochodzimy do Hal Mirowskich. Tam stoją własowcy. Ustawiają ludzi – lustrują, przeglądają torebki i bagaż ręczny. Zabierają co cenniejsze przedmioty, zrywają z palców pierścionki i obrączki. Wyszarpują kolczyki z uszu. Ludzie płaczą i błagają, a oni – butni – tylko krzyczą i drą dokumenty osobiste. Już bez żadnych bagaży jesteśmy w kościele na ul. Leszno. Tu jest punkt zborny. Stąd partiami pędzą ludzi gdzieś dalej. W kościele widok jest zastraszający. Ludzie leżą na ołtarzu, w konfesjonałach, krzyczą jeden do drugiego, kłócą się, płaczą i modlą, nawołują, z błędnymi oczami oczekują (może na jakiś cud?). Ja, cała w szlochach. Ktoś matce podaje krople walerianowe dla mnie na uspokojenie. I chwila odpoczynku. Znów Ukraińcy każą wychodzić z kościoła, ustawiać się w szeregi i tak pędzą ul. Leszno. Po drodze widać dogorywające domy, leżą ponadpalane ludzkie zwłoki, konie i inne zwierzęta. Pełno kluczy od mieszkań. Ostatnia droga z Warszawy usiana kluczami. Domy poza nami. Wszystko stracone...

Zbigniew Woźniewski z książki

„Książki Raportów Lekarza Dyżurnego” (Wyd. PIW – 1976 r. Warszawa)

Szpital Wolski w okresie Powstania Warszawskiego

Ze wspomnień pielęgniarki Marii Gawłowskiej

18 IX – poniedziałek

Od rana duże zdenerwowanie. Chorzy przygotowują się do ewakuacji. Nastrój pełen napięcia i niechętnego oczekiwania. Mija godzina 9.00, 10.00 – wozy jednak nie nadjeżdżają. Około południa zaczyna-

ją się zjawiać wózki z nowymi chorymi. Pozostali ze szpitala na Kopernika i od Wizytek zostali sprowadzeni przez władze niemieckie do naszego szpitala. Mowa o Szpitalu dla Dzieci przy ulicy Kopernika 43 oraz o klasztorze sióstr wizytek na Krakowskim Przedmieściu 34, które w czasie powstania zorganizowały szpital i schronisko dla uchodźców. Przybyła grupa rozlokowała się na terenie szpitala... W następnych transportach przybyli chorzy ze szpitala Św. Rocha z Krakowskiego Przedmieścia 24.

Z przypisów opracowanych przez Marię Gepner-Woźniewską i Zofię Makuch-Bartoszewską

23 IX 1944 przybiegła do Szpitala Wolskiego pielęgniarka z polskiego punktu sanitarnego, stacjonującego w kościele Św. Wojciecha, i zawiadomiła, że są tam akowcy z Czerniakowa, a wśród nich jeden ciężko ranny z przestrelonym płucem, wymagający natychmiastowej pomocy. Warta niemiecka przed kościołem uprzedziła wchodzącego dra Woźniewskiego, że tym razem nie uda mu się niktogo zabrać, ponieważ to są „AK-Leute” (ludzie z AK). W kościele dr Woźniewski kazał rannego w klatkę piersiową, leżącego na leżaku przed wielkim ołtarzem, przenieść do zakrystii i przebrać z panterki powstańczej. Sam poszedł szukać wyższych władz niemieckich, aby uzyskać ich zgodę na przewiezienie chorych do szpitala. Dowiedział się od warty, że o wszystkim decyduje Hauptsturmführer Spilker, stacjonujący na plebani przy ulicy Sokołowskiej za kościołem, wyposażony w szczególnie wielkie pełnomocnictwa. Odnaleziony Spilker, rozmawiający właśnie z jakimś innym oficerem, okazał się być owym spotkanym pierwszy raz 7 IX przed kościołem wyższym oficerem Gestapo, który zgadzał się na „badanie stanu sanitarnego kościoła” i zabieranie chorych do szpitala. Tym razem jednak Spilker odmówił podobnej prośbie dra Woźniewskiego, argumentując swą decyzję tym, że to są przecież „AK-Leute”. Zaproponował natomiast, wobec zgłoszonej przez Woźniewskiego chęci przyjęcia do Szpitala Wolskiego wszystkich potrzebujących opieki lekarskiej, zabranie 200 starców z domu Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności („Res Sacra Miser”) na Krakowskim Przedmieściu 62. Woźniewski zgodził się na tę propozycję... Woźniewski zorientował się, że „Roter Lump” całości rozmowy nie słyszał. Podstawiono ciężarówkę, aby pojechać po starców na Krakowskie Przedmieście. Przed kościołem Woźniewski kazał zatrzymać samochód. Wszedł do kościoła i polecił wziąć przygotowanych do wyjazdu akowców. Pierwszego wyniesiono na noszach rannego w płuco, za nim do ciężarówkę wsiadło siedmiu chodzących. Kiedy ósmy akowiec próbował wsiąść, Niemcy zaczęli krzy-

czyć: „Bandit!”. Chłopak miał obandażowaną głowę i kurtkę panterkę. Wtedy Woźniewski pozornie brutalnie odepchnął go, powtórzył: „Bandit!”, odprowadził do bramy ogrodzenia kościelnego i szepnął, żeby zdjął kurtkę i bandaż, i że niedługo będzie zabrany. Zawieszono tych siedmiu akowców niemiecką ciężarówką do Szpitala Wolskiego, po czym ciężarówka już tylko z gestapowcem i szoferem pojechała na Krakowskie Przedmieście po starców, których stopniowo przywożono do Szpitala Wolskiego.

Zaraz po przyjeździe do szpitala dr Woźniewski polecił Basi Wardziance, ówczesnej pielęgniarce-instrumentariuszce, pojechać po resztę akowców do kościoła. Wardzianka, w stroju pielęgniarskim, zatrzymała na Wolskiej niemiecką ciężarówkę. Zapakowała do niej trzynastu akowców z kościoła, w tym również tego, którego Niemcy poprzednio zatrzymali, i przywiozła ich do szpitala. Większość z tych dwudziestu w ten sposób wyciągniętych z kościoła chłopców wsadzono tego samego dnia na furkę i wywieziono poza Warszawę jako ewakuowanych chorych.

Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf”

(Świadkowie historii, Narodowe Centrum Kultury)

Apteka Wendego

10 lipca przeprowadziłem świetną akcję na aptekę Wendego, która znajdowała się na Krakowskim Przedmieściu 55. To był bardzo trudny rejon, ponieważ znajdowało się w nim wiele wojska, gestapo, zmotoryzowana żandarmeria. Po otrzymaniu rozkazu przeprowadziłem intensywny wywiad. Apteka mieściła się w trzypiętrowej kamienicy. Na górnych piętrach odbywały się tajne komplety pod przykrywką szkoły czy jakiejś szwalni. Apteka znajdowała się na parterze, a magazyny w piwnicy. Personel był polski, ale apteka niemiecka, w ogóle niedostępna dla Polaków. Zmagazynowano tam bardzo dobre leki, które miały być przewiezione do szpitali polowych na front wschodni. Było tam dużo narzędzi chirurgicznych, leki znieczulające (morfina, kokaina). Oprócz tego znajdowały się tam środki nasercowe, krew różnych grup potrzebna do transfuzji, stoły operacyjne i inne medykamenty, których przeznaczenia nawet nie znałem. Ale miałem ze sobą lekarza, który był doradcą i wiedział, co należy brać.

Moim zadaniem było opanowanie apteki. Do dyspozycji miałem samochód ciężarowy z kierowcą, grupę ośmiu ludzi, w tym trzy łączniczki. Dwie z nich stały na patrolach przy Koziej i Miodowej, a jedna miała zabrać dokumenty i odjechać z nimi. Jeżeli tam padł choć jeden strzał, nie zostałyby po nas ślad. W odległości 300 – 400 metrów od apteki znajdowały się tak duże posterunki niemieckie, że byli oni w sile około 1000 żołnierzy. Byli wszędzie. Z jednej strony posterunek, z drugiej posterunek, obok gestapo, dalej SS – to było niewiarogodne. Musiałem tę akcję zrobić po cichu. I tak zrobiłem. Dostałem od pułkownika Skiby oryginalną niemiecką receptę na środek znieczulający bóle, które miał mieć mój szef. Więc o 5.30 rano, z pistoletem pod cywilną marynarką, pomaszerowałem do apteki. To był najlepszy czas, „towarzystwo” jeszcze spało w łóżkach, niewielu ludzi na ulicy. Zadzwoiłem do dyżurnego aptekarza.

Powiedziałem po niemiecku

– Mam tu receptę do apteki. Mój szef ma straszne bóle i trzeba mu dać lekarstwo.

Otworzył więc drzwi i powiedział, żebym wszedł do środka. Udawałem Niemca, miałem niemiecką swastykę w klapie świadcząca o przynależności do NSDAP. Mój język niemiecki był dobry i aptekarz najwyraźniej pomyślał, że jestem Niemcem. Wszedł do środka i zaczął przygotowywać receptę na swoim stole aptekarskim. Był do mnie odwrócony plecami. Po lewej stronie stał telefon. W kieszeni miałem już przygotowane kombinerki. Wyciągnąłem pistolet i powiedziałem po polsku:

– Niech pan podniesie ręce do góry. Mam rozkaz zabrania lekarstw. Nie chcę strzelaniny, więc niech się pan zachowuje.

Przeciąłem druty telefonu. Drugi telefon stał trochę dalej – w drugim pokoju. Również go odciąłem. W momencie gdy to robiłem, zadzwonił mój zastępca. Otworzyłem mu drzwi, wszedł do środka, a potem kolejno, w odstępach pięciominutowych zaczęli wchodzić pozostali moi ludzie i doktor. Po całej akcji, ciężarówką z eskortą, przewieźliśmy lekarstwa na Poznańską, reszta ludzi się rozproszyła. Na Poznańskiej znajdował się sklep owocowo-warzywny, w którym czekał na mnie już Skiba wraz z dwoma lekarzami. Ten sklep był przykrywką magazynu lekarstw. Tam wszystko zdeponowałem i własnoręcznie podpisałem protokół zdawczy.

*Relacja jest fragmentem książki „Robiłem swoją robotę”.
Rozmowa z mjr Januszem Brochwicz-Lewińskim „Gryfem”,
Warszawa 2006. Książka wydana została staraniem Warszawskiej
Straży Miejskiej www.nck.pl (świadkowie historii)*

Już po wojnie

Pierwszą noc spędziliśmy na ulicy Żelaznej. Na drugi dzień po przybyciu do Warszawy poszliśmy szukać znajomych oraz mieszkania bliżej Krakowskiego Przedmieścia. Na Krakowskim Przedmieściu z mamą spotkałyśmy Jankę Kowalczykównę – mieszkała z mamą i bratem na ul. Bednarskiej 23. Poszliśmy do nich w odwiedziny i tam pozostałyśmy razem przez 10 lat.

Mama zatrudniła się do odgruzowywania ulic.

W tym czasie, aż do momentu rozpoczęcia nauki w szkole 1 września 1945 r., do moich obowiązków należało przynoszeniu wody i zbieranie drewna na opał. Po wodę chodziliśmy na ul. Ossolińskich, na Krakowskie Przedmieście, na teren przy kościele Wizytek, a następnie aż do uruchomienia wodociągów do ogrodu seminarium przy kościele Karmelitów. Po opał udawaliśmy się na Stare Miasto.

Pewnego dnia jak zwykle wybrałam się z panią Kowalczykową po drewno na Starówkę. Na rynku Starego Miasta, z gruzów domu Fukierra wystawało wspaniałe drewno. Po gruzach weszłam kawałek i zaczęłam ciągnąć. Kiedy już wyciągnęłam kilka desek, pani Kowalczykowa zaczęła na mnie wołać, bym natychmiast zeszła. Ja chciałam wyciągnąć jeszcze jedną deskę, ale do pani Kowalczykowej przyłączyli się jeszcze inni, więc zeszłam z gruzów. Wtedy zobaczyłam, że obok tej deski leżała „baba” (niewypał).

Któregoś dnia mama zabrała mnie ze sobą do Ogrodu Krasińskich, odbywała się tam ekshumacja zwłok. Były to ciała zmarłych – poległych na Starówce. Zwłoki były poukładane w rzędach. Aby zapobiec epidemii posypani byli chlorkiem. Widok był okropny. Między rzędami krążyli ludzie, szukając swoich bliskich i znajomych. Śmierć na tych młodych ciałach położyła bardzo głębokie piętno. Rozpoznać było bardzo trudno. Bliscy identyfikowali najczęściej po znakach szczególnych lub ubraniach. Tu i ówdzie słychać było wybuchy rozpaczki. Nadzieja na to, że może najbliższa osoba żyje, tylko gdzieś jest daleko, pryskała jak bańka mydlana, a zasłyszana wiadomość stawała się prawdą. Byli i tacy, którzy z drzeniem serca szukali i nie znajdowali nikogo. Ci odchodzili z isierką nadziei. Był to dzień okrutnej grozy. Nikt nie mógł przebywać w tym miejscu zbyt długo. Odór trupi był tak wielki, że szedł za nami aż do połowy Miodowej. Tej nocy nie mogłam spać – ciągle miałam przed oczami ten okropny widok, w uszach dźwięczał mi krzyk ludzi.

Muszę przyznać, że bardzo lubiłam chodzić z mamą w okupację do Ogrodu Krasińskich, jednak jeszcze jeden wypadek zaważył, iż od tamtej pory – choć minęło tyle lat – nie byłam tam więcej. Może po kilku miesiącach od pamiętnej ekshumacji, poszłam z mamą na Starówkę na spacer. Stamtąd skierowałyśmy się do Ogrodu Krasińskich. Gdy przeszłyśmy kilka kroków, nagle od strony górki nastąpił potężny wybuch i usłyszałyśmy krzyki. Pobieglyśmy z mamą w tamtą stronę. Ujrzałyśmy dwóch chłopców bardzo poranionych (rozbrajali niewypał). Jeden z nich miał poszarpaną nogę, a drugi rozerwany obok. Mama podarła moją białą bluzkę i zabezpieczyła – jak to było w tych warunkach możliwe rany obu chłopców. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby przyjść z pomocą, wobec czego mama wzięła chłopca ciężej rannego na plecy, drugi podtrzymywany przeze mnie kuśtykał na jednej nodze. Tak doszliśmy do ich domu. Mama szła dużo szybciej niż ja. Chłopiec, któremu pomagałam iść, był starszy niż ja, a do tego nie miał już siły, więc było mi bardzo ciężko. Płakałam i prosiłam, by jeszcze kawałek i tak wlekliśmy się, aż zaalarmowani przez mamę ludzie nadbiegli i wzięli go pod ręce. Chłopcy mieszkali w domu, którego już nie ma, gdyż w tym miejscu przechodzi trasa W-Z. Gdy znaleźliśmy się przed ich domem przybiegli również ich rodzice. Następnie na wózku odtransportowano ich do szpitalika na Kopernika. Obaj chłopcy z tej przygody wyszli szczęśliwie.



Pałac Potockich po 1939 r.
Stara Dziekanówka po 1939 r.



Nie ma litości

*Na Krakowskim
Na bruku Chrystus!
Krzyże drewniane
Wołają o litość!
Nie ma litości!!
Czołgi miażdżą ulice!
Domów czarne szkielety,
Zamordowane ptaki
Umarłe kwiaty,
Bezdomne psy.
My bezdomni
Na życia tułaczce.
Tylko deszcz,
Jesienny deszcz
Nad nami zapłacze.*

*Władysława Siemaszko
„Jarzębina”*



Figura Chrystusa z frontu
schodów kościoła św. Krzyża 1939 r.

Stanisław Soszyński

Krakowskie Przedmieście

Można o nim różnie pisać i mówić. Historycznie, urbanistycznie, architektonicznie, faktograficznie i bardzo osobiście. Jest to niewątpliwie salon Warszawy. Stanowi część historycznego traktu królewskiego, na osi Zamek – Wilanów. Ten niewielki, ale jakże ważny odcinek miasta zawdzięcza swój obecny kształt wyburzeniom, w połowie XIX, wieku domów stojących poprzecznie do osi traktu na wysokości ulicy Bednarskiej i rozbiórce kamienic zamykających wylot ulicy Miodowej, na wprost kościoła św. Anny. Wcześniejsze wybudowanie wiaduktu przez F. Pancera z propozycją jednołukowego mostu miało połączyć Krakowskie Przedmieście z Pragą. Niestety car nie wyraził zgody na taki most i dopiero zrealizowanie przeprawy przez inż. Stanisława Kierbedzia spełniło ten zamiar. Krakowskie Przedmieście kształtowane przez wieki ma dzisiaj niebywały układ urbanistyczny. Położenie na osi północ – południe ma prostą pierzeję zachodnią. Wschodnia ma trzy zagłębienia. Pierwsze przy kościele Karmelitów. Drugie przy kościele Wizytek i trzecie ostatnie przed pałacem Staszica. W każdym stoją pomniki. Trudno uwierzyć, ale jest ich aż osiem. Wymieńmy w kolejności. Kolumna króla III Wazy, figura M.B. Passawskiej, pomnik Mickiewicza i Poniatowskiego (na dziedzińcu pałacu namiestnikowskiego). Za wylotem ul. Karowej pomnik B. Prusa i ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Następnie figura Chrystusa przed kościołem Św. Krzyża i ostatni w tej wspaniałej galerii Mikołaja Kopernika. A był jeszcze, wzniesiony i rozebrany przed wojną pomnik wdzięczności Ameryce dłuta Ksawerego Dunińskiego na skwerku przed domem „Res Sacra Miser”, i fontanna przeniesiona przed I wojną Światową na plac Bankowy a po II wojnie przed kino Muranów.

O każdym z tych pomników można napisać książkę. Nam dzisiaj niech wystarczy kilka zdań na ten temat.

Kolumna Zygmunta III Wazy. Pierwszy świecki o tym kształcie pomnik. Wywołał więc wiele dyskusji. Ostatecznie uzgodniono, że król będzie trzymał w ręku Krzyż i w ten sposób rozwiązano problem. Le-

genda staromiejska mojego dzieciństwa głosiła, że kiedy kolumna padnie – zginie miasto. Niestety okazało się to prawdą. Kiedy wypędzono nas 2 września 1944 z oblężonej Starówki, żołnierze niemieccy tak ustawili czołgi, że musieliśmy przejść po zwałonej postaci króla. W tej wędrówce wypędzanych – minęliśmy wychodząc z ul. Bednarskiej figurę Matki Boskiej Passawskiej. U Jej stóp ulica opada i wróg tak na niej ustawił działa, że ich lufy były tuż nad powierzchnią jezdni. I tak zostały w naszej pamięci.

Pomnik Adama Mickiewicza. Jedyne przy którego odsłonięciu nie padło ani jedno słowo przemówień. Tysięczne tłumy trwały w milczeniu. Wstrząsające. Po II wojnie ludowa władza chciała wznieść poecie inny pomnik. Zbudowano nawet nowy cokół z otynkowanych cegieł, ale na szczęście w poniemieckim złomowisku na Woli odnaleziono głowę wieszczą, do której dorobiono zniszczoną postać. Całość postawiono na ocalałym cokole. Jest fascynującą informacją, że szkła do kandelabrow przy pomniku odnaleziono w miejskich magazynach w mieście całkowicie zburzonym. Stare szkła z początku wieku.

Pomnik księcia Józefa Poniatowskiego ma przebogata historię. Przypomnijmy więc tylko, że wybitny rzeźbiarz duński Thordwaldsen zaproponował postać księcia w ówczesnym mundurze generalskim W.P. Nie akceptował takiego ubioru namiestnik carski, Paskiewicz. Komitet Budowy pomnika podjął decyzję o ubraniu postaci księcia w strój cesarów. A więc w tunikę z krótkim mieczem rzymskim. Odlew wykonano w Danii. Do Warszawy przyjechał już po powstaniu listopadowym. Miał stanąć w dzisiejszym miejscu. Jednakże, by ukarać miasto wywieziono go tratwą do Modlina. Dworowi cara powiedziano, że w czasie transportu utonął w Wiśle. W rzeczywistości Paskiewicz ukradł go i postawił w swojej rezydencji w Homlu. Zdarzyło się w kilka lat później, że car wizytował jego pałac i zobaczył eksponowany na tarasie pomnik. Miał wtedy powiedzieć: „nie wiedziałem że Dniestr łączy się z Wisłą”. Po wojnie, w 1920 roku, w ramach zwrotu zagrabionych dóbr kultury pomnik powrócił do Warszawy. Postawiono go przed pałacem saskim, gdzie dotrwał do grudnia 1944. Wówczas to saperzy niemieccy już po Powstaniu wysadzili pałac i pomnik. Po wojnie ofiarowany Warszawie przez Danię (zrobiono odlew z zachowanego modelu gipsowego) nie odpowiadał klasowo ludowej władzy, postawiono go więc w Łazienkach. Dopiero po wydarzeniach października dotarł na przewidziane przed stuleciem miejsce, gdzie trwa do dzisiaj.

Pomnik B. Prusa. Mam na jego temat kilka osobistych odczuć. Jako warszawiak i wielbiciel naszego miasta interesowałem się również

osobą B. Prusa. Doczytałem się, że ten wspaniały pisarz i publicysta znając upodobania swoich rodaków, uprzedził ich zamysły decyzją: „nie chcę pomnika”. Toteż kiedy komitet budowy takiego monumentu przyszedł do mnie z propozycją jego wzniesienia (byłem Naczelnym Plastykiem Warszawy) poszedłem do ówczesnego prezydenta Warszawy Jerzego Majewskiego i powiedziałem: „Panie prezydencie, Bolesław Prus nie chciał pomnika. Mamy piękną granitową kostkę w wymiarach 1x1x1 m. Postawmy ją z napisem „Pisarzowi który nie chciał pomnika”. A na tylnej ścianie kostki: Bolesław Prus – Aleksander Głowacki i stosowne daty. Prezydent życzliwie przedyskutował propozycję. Niestety Komitet zebrał duże ilości metali kolorowych takich jak stare żelazka, moździerz itp. i to przesądziło o realizacji postaci. Pomógł w tym bardzo nieżyjący już, gen. Czesław Piotrowski, szef wojsk inżynieryjnych, który udostępnił artystce halę odpowiedniej wysokości, w koszarach przy ul. Stalowej i pomoc fizyczną przydzielonych do tego zadania żołnierzy. Pomnik stanął w miejscu kamienicy spalonej w 1939 roku, w której mieściła się siedziba Kuriera Warszawskiego, do którego B. Prus pisał felietony.

W kilka lat później, na tym samym skwerku, stanął pomnik ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Komitet Budowy monumentu pod kierownictwem prof. Henryka Samsonowicza musiał pokonać wiele trudności zewnętrznych i wewnętrznych. W jego skład wchodził bowiem młodzi ludzie z „Solidarności”, którzy chcieli wielkość osoby Prymasa określić wielkością wymiarów rzeźby. Oczywiście błąd. Zrobiono więc kilka przymiarek postaci różnej wielkości. Wybrano najbardziej pasującą do elewacji kościoła i otoczenia. Anegdotycznie można przypomnieć, że w czasie obiadu podczas kolejnej wizyty Ojca Św. w kraju aktor Andrzej Łapicki (członek Komitetu Budowy pomnika) opowiedział warszawski dowcip. Pytanie: „dlaczego na pomniku Prymas siedzi?”. Odpowiedź: „bo siedział!”. Warto przypomnieć, że pomnik wykonał wg zaleceń Komitetu bardzo wówczas młody rzeźbiarz, absolwent warszawskiej ASP, Andrzej Renes.

O dwóch ostatnich opowiedzmy wspólną anegdotę. Po Powstaniu pomnik Chrystusa z oderwanym Krzyżem i rozstrzelany z dział na części pomnik M. Kopernika, wywieźli Niemcy na złomowisko w Nysie. Po zajęciu tego terenu przez Armię Czerwoną, odnaleźli rzeźby wysłannicy Warszawy. By je zabrać musieli mieć stosowne dokumenty. Rosyjski dowódca obszaru wystawił je pisząc: Pan Chrystus i obywatel M. Kopernik mogą opuścić rejon. Ta tytułatura na swoją kulturową wymowę.

Nadzwyczajnie szczęśliwym trafem na Trakcie ocalały dwie świątynie w stanie nienaruszonym: Karmelitów i Wizytek. Inne niestety

legły w gruzach: Jezuitów, Katedra, Kościół św. Krzyża. Przetrwiał mocno uszkodzony Kościół św. Anny. Godzi się tu przypomnieć, że nadzwyczajny kapłan, ksiądz prałat Wacław Karłowicz, wyniósł z płonącej katedry z kaplicy Baryczków Chrystusa Ukrzyżowanego. Uratował w ten sposób nie tylko niezwykle cenną rzeźbę ale jak sądzę duszę miasta. Żył 100 lat i w grudniu 2007 roku odbył się Jego pogrzeb.

Bibliotekę, w której się znajdujemy, spaliły niemieckie pociski w czasie oblężenia Warszawy w 1939 roku. Przez całą okupację i kilka lat po wojnie jej wypalone mury czekały na odbudowę. Dziś możemy cieszyć się z jej istnienia.

Krakowskie Przedmieście było terenem najważniejszych wydarzeń w życiu miasta i kraju. Od najazdów szwedzkich, przez insurekcje do defilad narodowych i manifestacji politycznych. Uroczystych pogrzebów jak Nieznanego Żołnierza, czy J. Piłsudskiego Marszałka Polski. Przewrotu majowego w roku 1926, czy ostatniej drogi lotników Żwirki i Wigury. Przetaczały się tu niemieckie czołgi pantery i tygrysy. Przejeżdżali wrogowie – carowie i A. Hitler. Ten ostatni dzięki zmianie trasy przejazdu uniknął przygotowanej przez Wojska Polskie śmiertelnej pułapki, założonej na niego róg Alej Jerozolimskich i Nowego Świata. Miał jechać Nowym Światem – pojechał Bracką. Ocalał po defiladzie w Alejach Ujazdowskich, którą przyjmował w ruinach zdobytej Warszawy.

Ten niewielki przestrzennie odcinek Stolicy zawiera w sobie pamięć Wiktorii Wiedeńskiej i defiladę zwycięskich wojsk wracających z pól Radzymina, Ossowa i Nieporętu. Widział wspaniałe procesje Bożego Ciała i słyszał kazania nieustraszonego ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. To w powietrzu Krakowskiego Przedmieścia zastygły słowa pieśni „Boże coś Polskę” gdy na tysiące klęczących i śpiewających przed Kościołem Św. Krzyża spadła z nahajkami lawina kozaków. To tu przed tym samym kościołem, gdy podczas Insurekcji Kościuszkowskiej zdobyto rosyjskie armaty, lud poniósł na rękach wodza, szewca Jana Kilińskiego, przez całe Krakowskie Przedmieście, aż do jego mieszkania na Szerokim Dunaju. „I gdy mnie już postavili zobaczyłem, że przy okazji ukradli mi ze spodni 200 rubli”, jak zapisał potem w swoim dzienniku.

Krakowskie Przedmieście – samo życie.

Witold Liliental

Wreszcie, jak kiedyś, wkrótce po wojnie, Matusia zaprowadziła mnie na piechotę do zniszczonej Warszawy i widziałem jak na wyburzonej ścianie, gdzieś wysoko, sterczał piec kaflowy, ale nie było tam podłogi. Jak w jakimś tramwaju mieściła się restauracja. I wzięła mnie do Muzeum Narodowego, żeby pokazać króla Zygmunta. Stał bez kolumny na małym podwyższeniu w Muzeum Narodowym. Powtarzała, że to bardzo ważne i kazała mi dobrze zapamiętać na całe życie. Zapamiętałem.

*Wspomnienia z wydawnictwa „Moje wojenne dzieciństwo”
wybrała i relacje zebrała Eulalia Rudak*



Figura Matki Boskiej Passawskiej
Pomnik Adama Mickiewicza





Kościół św. (Józefa obok klasztor ss Wizytek) przed 1903 r.

*Warszawo Ty moja Warszawo
Tyś treścią mych marzeń i snów
i dalej
dziewiątką pojechać w Aleje
Krakowskim się wpleść w Nowy Świat
i ujrzeć jak dawniej za młodych mych lat
jak do mnie Warszawo się śmiejesz*

*pisal po wybuchu Powstania w Warszawie
przebywający w Moskwie – Albert Harris*